

— Tak ludzie gadają i jak ja sobie różne rzeczy przypominam, to chyba będzie prawdą.

— Czyżby on był?

— Była tu, panie, we dworze Jewka, dziewczka pinkna, ale straszny wartogłów i latawica. Pędziwiatrem ją przezywano. To ten Wojtek jest synem tej Jewki i nieboszczyka pana dziedzica... aleć to ta pewności niema nijakiej.

Stanisław nic na to nie odrzekł, tylko sobie pomyślał, że jego stryjasek nazbyt wolnie prowadził życie. Przed chwilą dowiedział się, że śliczna panna Aniela jest jego i gospodyni, pani Magdaleny Schmid, córką, a teraz taka sama historia Wojtka Mecherzyny. Piękne sprawy, ani słowa. Tylko patrzeć, jak więcej się takich wykryje. Pożegnał tedy Błażeja, zalecając mu, by był gotów do nocnej wyprawy i poszedł zamyślony do dworu. Idąc, zatrzymał się i zawołał:

— Błażeju, jak będziesz przechodził koło stajni, przypomnij Jędrkowi, żeby przed trzecią pojechał wolantem na kolej. Ma tam kogoś przywieść.

— Dobrze, panie.

Koło godziny czwartej popołudniu, przed ganek dworu w Górze, wolantem, wysłanym na stację kolejową, zajęła osobliwsza figura. Wysoki, chudy, wygolony oprócz bokobrodów już trochę siwiejących, z okularami na nosie, w czapce z gwiazdką, w długim, letnim paltocie, podobnym do szlafroka, jakiejś dziwnej barwy, w kałozach, choć to był lipiec i od paru tygodni deszcz nie padał; jegomość ów wysiadł, dźwigając niewielki, mocno zniszczony kuferek płócienny i począł bacznie rozglądać się dokoła. Na powitanie gościa wyszedł Stanisław na ganek i kłaniając się, pytał:

— Kogóż mam honor witać w domu mego stryja?

— Da, honor to honor, no po mojemu niema tu nijakiego honoru. Mam cześć rekomendować się, Siergiej Bolesławicz Kozłowski, koleżski asesor.

— Bardzo mi przyjemnie.

— To to i jest. Widzisz pan, wyczytał ja w Senackich Wiedomościach, co umarł niejaki Fiedor Kozłowski i coby wszyscy Kozłowsky zjechali się do sioła Góry, petrokowskiej guberni. Nu i ja Kozłowski, wziął ja urlop i przyjechał. Teraz jest wakacyonny czas. to mnie lubo zjechać w Polszu i poznać rodnych moich. Pan także Kozłowski?

— Tak.

— Bardzo rad. A to sioło Góry, petrokowskiej gubernii?

— Tak.

— Nu to i dobrze. A gdzieże mnie złożyć mój czemodanik?

— Jest dla pana pokój gotowy, proszę za mną.

— Ładno. Znaczy, co wy, pan, odebrali moją telegramu, a?

— Odebrałem.

— Nu... mówią, co tu piękna sukcesyjka jest?

— Nie wiadomo jeszcze, a jeżeli jest, to tylko dla krewnych.

— Jak dla krewnych? a to ja nie krewny co-li? Czy to moja familia nie jest Kozłowski, Siergiej Bolesławicz Kozłowski?

— Więc ojcu pańskiemu było na imię Bolesław?

— Nu tak, u mnie to jest zapisane w posłuznym spisku, zaraz odkryje czemodan i wam, pan, pokażę. U mnie są dokumenta, ot co jest.

Tak mówiąc, weszli do przeznaczonego dla gościa pokoju i Siergiej Bolesławicz zabrał się do „odkrywania swego czemodana“, ale go powstrzymał od tego Stanisław, mówiąc, że należy to odłożyć na później, że obiad czeka na nich. Więc poszli na werandę, gdzie już panna Aniela, ubrana w obcisłą, jasną sukienkę, uwydatniającą jej dziewczęce wdzięki, czekała na panów. Nastąpiły przedstawienia się wzajemne. Siergiej Bolesławicz napił się wódki i począł gadać, że w Polsce piją za mocną wódkę.

— U nas, w Rassii pijemy oczyszczone wino. Ono lepsze od waszej wódki.

A potem zwrócił się do panny Anieli i już ciągle mówił, widocznie w zamiarze obznajomienia jej z sobą i zarekomendowania się z jak najlepszej strony.

— Prawdę wam powiedzieć, madam, u mnie w Pitrze roboty przepaść. Z tych por, jak mnie przedzielili pomocnikiem naczelnika stołu, to choć

leżę ze skóry, a ciągle czasu nie chwyta. Prosto precz z rąk. Na siłę ja się wyrwał, żeby tu do was w petrokowską gubernię przyjechać. Mnie naczelnik mówi: a co Siergiej Bolesławicz, wam sukcesyjka przypada, w Polszu chcecie? Strzeżcie się, Siergiej Bolesławicz, tam was Polki w plen wezmą. Nu i prawdu Paweł Kononowicz powiedział. Takich dam, jak w Polszy, ja nigdy nie widział. Prosto rozkosz. Nu, pan, napijem się, a?

— Proszę!

Napił się, poglądził zawiesziste bokobrody i dalej gadał:

— Mnie w Pitrze wiedzie się niczego. Miejsce zajmuję nie bardzo widne i czyn niewysoki, koleżski asesor. Ale, jak to mówią, nie miejsce farbuje człowieka, ale człowiek miejsce. Nie czerwona chata węglami, a pirogami. Otóż, choć żalowanie mam niewielkie, a wszystko taki to na tem, to na drugim, coś zawsze zarobię. Już to oddechu to nigdy nie mam, patrzaj w oba i nie poziewaj. Ale przynajmniej już sobie ja coś zebrał. Posłuż ja na tem samem miejscu lat dziesięć, to pożaluj tak nażyję się,



Kogóż mam honor witać.

że moje uszanowanie. Wy, madam, nie jecie pirozka, a?

Panna Aniela w rzeczy samej mało albo prawie nic nie jadła, tylko patrzyła na tego osobliwszego gościa, Polaka z Petersburga i słuchała go, uśmiechając się od czasu do czasu. Bawił ją wyborcie; za to Stanisław był chmurny i nie odzywał się wcale. Jego ta gadanina zgola nie bawiła, ale za to irytowała mocno. Tymczasem Siergiej Bolesławicz jadł wszystko łakomie, pił wódkę, co mu wcale nie przeszkadzało gadać nieustannie:

— Tak to, tak. Paweł Kononowicz prawdę powiedział, że mnie Polki w plen wezmą, ha, ha, ha! Co, madam, ja przyznaję się, że strachem jechał w Polszu. Tam, gadają mnie, rewolucya, matież, tam są same pany i ksiendzy, odstali naród, na chłopów wołają psiakrew. A co mnie, powiadam sobie w duszy, czy ja nie Polak? Jakże moje rodaki mnie mogą co złego zrobić? Napluć na to i w drogę! Nu, to ja i przyjechał i widzę, że to wszystko, co w Pitrze gadali, jest łgarstwo. Tu cicho, porządek, jak należy.

Znowu napił się wódki i gadał:

— Nie bądź ja korzenny Polak, to jakby ja wysoko podźwignął się! A tak, jak ja korenni Polak,

to ja nie mogę prędko podźwignąć się na służbie. Nu, do czorta z tem! Znacie, madam, co ja niedawno co tylko jednego głupstwa nie zrobił. Chciał ja zenić się na kupieckiej córce. Już był nawet za nią poswatał się, ale potem machnął ręką. A już przez miesiąc miał być ślub. Oho! żeby wy znali, madam, jaki ja był wtedy frant! Bywało przyjadę do niej cały rozduszony, wypomadzony, dyabeł weź! Salon piękny lampy, wszystkie świece zażygane, widno jak w dzień. Nu, jak zaczęć kury stroić, tak moje uszanowanie. Często my hulali razem po Newskim. Całe pół roku włóczył się ja nią. I panna była sobie niczegowata, ze wszystkiem niedurna, pierwszy sort, trochę podobna na was, madam, a nawet bardzo was napomina.

Panna Aniela roześmiała się głośno i odrzekła:

— Zaszczyt to dla mnie.

— Nu, zaszczyt, nie zaszczyt, a wszystko taki dziewczica Ekateryna Mitrofanowna była piękna, a i przydaczę miała niczego sobie. Ojciec jej i pierwszej miał dom jeden, niedawno że wystroił po Sadowej drugi, kamienny, gromadny, na twarz 84 okna.

— Hi! hi! hi! zaśmiała się panna Aniela.

Spojrzał się Siergiej Bolesławicz i także śmiać się począł:

— Wy, madam, myślicie, że taka dziewczica nie dla mnie? Otóż ja wam powiem, że o mało ja się na niej nie ożenił. Już zdawało się, że całe dzieło w kapeluszu, jak tu niespodzianie jawił się, dyabeł weź, jakiś odstawni jenerał. Tak też i mnie podsiedział. Ojciec tak zbłądził się jego czynem, że mnie odkazał. I żeby było dla kogo odkazać, a to dla takiego grochowego atuta. Da nu ich do dyabła! Płakać o nich nie stanę. Jeszcze potem śmiać się będę nad nimi, jak jenerał ich nadmie. Bo ja znam, że jenerał chce tylko od ojca zająć pieniędzy, a potem to i wspomina, jak nazywali. Wtedy to ojciec będzie orać na całe gardło, że jego nadęli i pozna, że mnie napróżno odkazał. Tak to zawsze wodzi się z ludźmi mocnymi tylnym rozumem.

Hi! hi! hi! zapiszczał znowu śmiech Anieli, a za nią głośny śmiech Siergieja Bolesławicza.

— A co, madam, nie prawda?

— Prawdą.

— To to i jest. Da nu ich! Gra nie warta świeca. Ja teraz na pięknej Polce się ożenię, sukcesijkę wezmę. Nu, pan Stanisław... nie wińcie, wasze otczestwo, a?

— Ja się nazywam Stanisław Kozłowski.

— Nu, ja to znam, ale otczestwo?

— Andrejewicz! — wtrąciła, śmiejąc się ciągle panna Aniela.

— Nu, Stanisław Andrejewicz, duża to będzie sukcesyjka, a?

— Nie wiem.

— Jak może być, żeby wy nie wiedzieli. Prawdę powiedzieć, ja, jak feldmarszał, surowo nie lubię nieznanek. Ot co jest. Wy, Stanisław Andrejewicz, tak sobie gadacie. Nu, niech tak będzie. Znamy my swego brata,

a my, brat, twarzą w błoto nie uderzym! Wy może myślicie, co ja tylko dla sukcesyjki w Polszu przyjechał. Co mnie pieniądze, napluć na pieniądze!

Widocznie szemrało mu w głowie od mocnej wódki. Spocił się, surdut rozpiął i chustką twarz obcierał, a oczy z poza okularów świeciły niezdrowym blaskiem.

— Ja przyjechał, żeby wasz odstali naród, waszych panów i ksiendzów w kozi róg zapędzić! Ja wam tu przywiózł źródła żywej wody, progres, szerokie goryzonty, ot co jest! Tu w tej Polsce trzeba wszystko przedziałać, przetasować, jak karty, bo będzie płochy!

Pan Stanisław niecierpliwił się i rzekł:

— Możebyśmy wstali?

Panna Aniela nie miała ochoty wstawać. Ją bawiła dotąd, a teraz zaczęła interesować ta osobliwsza postać petersburskiego progresisty, który chce Polskę do góry nogami przewrócić. Kto wie, myślała sobie, może on ma jakie nowe idee. Ale Stanisław powstał i dziękował za towarzystwo, a Siergiej Bolesławicz dorwał się do rączek Anieli i całował, całował je namiętnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).